№ 5.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Naglowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 1. Marca 1843.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

U narodów wschodnich, które, jak się zdaje, były kolebką cywilizacyi, ludzie dzielili się na kasty. Kasty były to rody przeznaczone do pewnego zatrudnienia w sprawie ogółu. — Nikt niemiał wolności obierania zawodu, ale tysiąc lat przed urodzeniem czekało go już zatrudnienie, był dla niego gotowy wymiar pracy. Późniéj dzielili się ludzie na obywateli i niewolników, czyli ludzi uważanych za rzecz, mogących być własnością drugiego. Ten stósunek kwitnął u Greków i u Rzymian. W średnich wiekach ukształciły się: stan rycerski czyli uprzywilejowany, stan miejski wolny i stan włościański, choć nie zupełnie niewolniczy, to zawsze tak zawisły, że mniéj więcéj był człowiekiem–rzeczą. Taki troisty sposób rozróżniania ludzi jest nas najbliższy i w nim nawet jeszcze tkwimy, aleć niema tajemnicy ani wątpliwości, że co rok, co dzień, co chwila bardziéj z pola schodzi. Skoro zaś zejdzie, czy będą wszyscy jak krople wody jednakowi? nie dadząż się na pewne gromady, gałęzie, oddziały lub jak je tam zwać należy, rozróżniać? Zapewne samo przyrodzenie organizmu społecznego, sam interes równości, będzie potrzebował zrobienia jakichś działów w ogóle ludzkim. Cóż więc przyjmie się za zasadę do robienia działów. Niesposób, żeby miejsce zamieszkania, same rozmiary po ziemi, bo wtedy społeczeństwo małoby się różniło od ogrodu, a człowiek byłby równy tylko drzewu — niewznosiłby się nad wegetacyą. Stanie więc pewnie zasada, żeby między ludźmi porobić działy stósownie do pracy. Wszelka zaś praca jest równo pożyteczna, lubo jedna rzadka, niezwykła, a druga pospolita. Mniéj wszędzie autorów niż oraczy, ale jak weźmiemy czy tych czy owych, wszystkich od razu ludom cywilizowanym, to niebawnie zdziczeją. Przyjdzie niewątpliwie do tego, że ludzie pójdą na działy podług rodzaju pracy, którą wypełniają, czyli podług zatrudnień. Powstaną wtedy klassy literatów, artystów, rzemieślników, które sobie będą przyznawały równość, nie będą miały żadnéj wady owych klass starego społeczeństwa.

Teraz ileż jest ludzi na świecie, co nie mają żadnego zatrudnienia, co nie znają żadnéj pracy, których cała myśl, cała istota obrócona na uprzyjemnienie sobie życia próżniackiego, którzy mają frazes swój mistyczny „my się bawimy.“ A kłamią, bo tylko nudy chcą rozpędzać. Całe życie się bawić, jest to równie niemoralnie jak i całe życie przy zdrowiu żebrać, a nawet jak oszukiwać. Na tém świecie można się utrzymywać tylko, albo z pracy cudzéj albo ze swojéj. Kto się zawsze bawi ten oczywiście wiele bierze od społeczeństwa, a nic mu nieoddaje. Jest on dla ogółu tylko jakby retortą, w któréj się niszczą pokarmy, jakby alembikiem przez który przechodzą napoje. Jest prawie tylko naczyniem albo narzędziem; niedosyć na tém, że mniéj jak człowiekiem, czemś mniéj od wielu zwierząt. Koń spełnia wielkie obowiązki, stawa nawet na polu bitwy dla obrony swéj ziemi, wół ciężko pracuje przez lato na sieczkę i siano, które w zimie jada. Próżniaka z powołania wyparłyby pszczoły, mrówki, bobaki i bobry z pośród siebie, a ludzkie towarzystwa jeszcze znoszą.

Niepowinien nikt, a szczególniéj w naszym narodzie czynić tego zwykłego pytania: „a jak się też u was bawią?“ bo u nas w różnych stronach tylko płakać trzeba, a zabawa zastępuje miejsce komiki w trajedyach Szekspira. Nieokrzesanego rozwesela i unosi,

lecz człowieka myśli zgrozą przejmuje, zasmuca, rozstraja. Niech rozumny i mający serce, pyta się drugiego raczéj: „jak też u was pracują?“ Wtedy domyśli się zapytany, że to w spólnym celu. Połączą usiłowania, a będzie i im i drugim co dzień miléj i lepiéj na tym świecie, który nie jest nudny dla tych, co są tak w pracy, że aż bawić sie niemają czasu.

O D A.

Powieść z czasów Bolesława Chrobrego

przez

Seweryna Goszczyńskiego.

(Dokończenie.)

Strój guślarza, obcy jéj dotąd, jeszcze ją bardziéj zmieszał. Cofnęła się, pozierając na niego obłąkanym z podziwienia i trwogi wzrokiem.

„Odo, co ci jest; rzekł guślarz niemało przerażony: tu przy mnie, nie lękaj się niczego;“ przybliżył się i wziął ją za rękę.

Te słowa, wzrok pełen dobroci, ściśnienie serdeczne, przywróciły jéj przytomność. Rzuciła się na siedzenie, głęboko westchnęła, a oglądała się bojaźliwie po stronach.

„Co ci jest, moję dziecię? powtórzył guślarz.

„Ach! słyszałam go, widziałam go już,“ zawołała Oda.

„Kogo?“

„Mojego męża.“

Guślarz zdumiał na chwilę, ale po chwili rzekł: „Uspokój się, było to zapewne przywidzenie, strach nocny.“

„Zapewne że przywidzenie, ale tak wyraźne, że słyszałam głos jego; a postać jego całkiem jak na jawie. Co najstraszniejsza, że naraz przemienił się w puhacza ogromnéj wielkości, z kozą w zakrwawionych szponach. Niewiem co się daléj stało, pobiegłam gdzie mię oczy niosły, niewiem jak tu przybiegłam. Dotychczas niemogę przyjść do siebie: drzę na wspomnienie.“

„Przywidzenie“ — powtarzał guślarz.

Oda milczała lub narzekała.

Guślarz nie przestawał pokrzepiać, pocieszać; wymowa jego wkrótce skutkowała.

Oda powoli przychodziła do siebie, odzyskiwała siły, a z niemi zupełną przytomność, rumieniec zaczął na twarz występować. Obok tego widać było w niéj pracę jakiéjś myśli, jakieś wahanie się, obawę powiedzenia czegoś, na końcu zdobyła się na odwagę i rzekła:

„Ojcze, mam prozbę która cię zdziwi, a może i rozgniewa.“

„Odo, rozkazuj mi, nie proś.“

„Ojcze, mój przestrach nie opuszcza mię. Ja dziś nie chcę widzieć mojego męża. Odłóżmy gusła na późniéj.“

Z niemałem zadowoleniem znalazła w guślarzu mniéj oporu niż się spodziewała. Po krótkiéj rozmowie odłożono do dnia jutrzejszego wędrówkę na Smytnię.

„Ale mój Ojcze, nim odejdę jeszcze cię zapytam o jedno. Ja ciebie dzisiaj zaledwo poznaję. Ten ubiór....“ wahała się dokończyć.

Guślarz uchwycił wątek jéj myśli i tak go dokończył: „ten ubior, Odo, konieczny jest przy spełnianiu guślarskich obrzędów.“

„Ale to ubior pogański, wyklęty przez Chrześcian.“

Guślarz zadrzał: „ale był święty dla ojców naszych i dzisiaj.... i dzisiaj jeszcze jest takim dla wiernych narodowym bogom,“ dodał w pewném uniesieniu mimowolném.

Oda zabierała się odejść.

Guślarz wziął ją za rękę, zatrzymał z lekka, usiadł obok niéj nie bez widocznego wzruszenia, i pilnie patrząc w jéj oczy, zaczął w ten sposób: „Odo, posłuchaj mię chwilę, mam ci wiele powiedzieć, ale zacznę z kolei od zapytania: godziż się chrześciance udawać się do guseł pogańskich? Prawda, że trudno ci znaleść odpowiedź na to w twojém sumieniu? I nie szukaj jéj. Nie zasłaniaj sobie oczu, nie trwóż się. Tu jesteś mniéj winna niż ci się zdaje: owe gusła potępione dzisiaj, to świętość, to wiara twoich przodków. Grzeszysz przed mnichami, przed niemcami, ale nie przed duchami domowemi. Jesteś niewinna, jak byłaś niewinna, zaczém zostałaś Chrześcijanką. Zapytaj własnego sumienia, własnych spomnień z twoich lat dziewiczych. Jesteśże dzisiaj szczęśliwszą jak byłaś wówczas? Znałażeś wonczas te cierpienia, pod któremi dzisiaj upadasz? Powiedz sama. Zapewne że nie. Bo wprzódy, wierna bogom ojczystym, byłaś pod ich opieką. Dzisiaj odstąpili cię oni, bogowie uciech, bogowie szczęścia; a twój nowy Bóg jest Bogiem cierpienia i prowadzi cię po drodze cierpienia.“

Zapał guślarza wzrastał, opanował go całego, w oczach błyszczał obłąkaniem i lubo szedł z ducha złego, nadawał jego słowom siłę przewrotnéj wymowy, a głosowi urok pieśni czarnoksięskiéj. Zatrzymał się niejako dla odetchnienia, i z gwałtowniejszém jeszcze uniesieniem tak daléj mówił: „Tak, Odo; przyszła

wreszcie pora wszystko ci odkryć. Ja nie jestem chrześcianinem. Wziąłem tylko płaszcz nowéj wiary. Uległem srogim rozkazom Chrobrego. Mimo chrztu, zostałem w duchu tym samym guślarzem, jakim byłem do ochrzcenia się, dochowałem wiary dawnym bogom. Przysiągłem im to, kiedy mię zléwano chrześciańską wodą; przysiągłem także zemstę ich odstępcom i przywrócenie ich czci dawnéj. Całe moje życie aż do dzisiejszéj chwili poświęciłem temu, a opieka ich błogosławiła mojéj pracy. Spodziewam się, że wkrótce owoce jéj będą wszystkim jawne, i stolice biskupów runą tak nisko, pod nasze nogi, jak dzisiaj stoją wysoko nad naszemi głowami. Namacano jednak moje prace. Zostałem na celu zaciętych prześladowań. Musiałem zejść na chwilę z oczu. Wtedy to po raz piérwszy zabłąkałem się w te góry; ale i tu niemogłem znaleść bespieczeństwa inaczéj, jak pod suknią łacińskiego mnicha. Wkrótce bogowie dali mi wyraźny rozkaz, służyć im w tych miejscach. Powiém ci dla czego. Mąż twój, Gromowid, jest jedynym z najzaciętszych przeciwko ojczystym bogom. Niemało on wywrócił kontyn, niemało wyciął świętych gajów. Zemsta bogów musiała go dosiądz prędzéj czy późniéj w jego dziele. Kazano mi pod jegoż okiem psuć jego robotę. I zepsułem ją. A on o tém nie wie! Jakaż to potęga jego Boga, że niemógł mi przeszkodzić: jaka opieka, że dotąd nie ostrzegł Gromowida. Zwyciężyłem go przez moje bogi. Wkrótce w nagrodę zesłali mi nadspodziewane pokrzepienie. Odo, winienem ci to powiedzieć. Prędko, po mojém przybyciu, ujrzałem cię po raz piérwszy śród gór w towarzystwie twojego męża. Musisz zapewne pamiętać tę chwilę. Było to w najdzikszéj ustroni. Widziałem was w pieszczotach, jakich żadne światło bez zmienienia się widzieć by niemogło. Od téj chwili, Odo, niemógłem cię zapomnieć, zakochałem się w tobie. Miłość dla ciebie równała się ze czcią dla bogów. Do zemsty za bogi przyłączyła się zawiść miłości. Od téj chwili, albo cię śledziłem, albo myślałem o tobie. Odtąd jedynym celem moich trudów w sprawie świętéj było powrócić cię dawnym bogom, powrócić dawnemu szczęściu; i w tém jeszcze nie zawiodła mię łaska bogów. Bezbożny król wojną ruską rozdzielił cię z mężem. To nieszczęście pozorne obróciło się tobie w pożytek. Nie znalazłaś pociechy u łacińskiego boga, udałaś się do ojczystych. Nie wiedziałaś co robisz, ale dobrze robiłaś. Przychylni bogowie prowadzili cię wciąż niewidomą ręką do twojego dobra. Sama wyznać musisz ich potęgę: tylko rozważ. Jeżeli poznałaś w czémkolwiek moc mają, ta od nich idzie. Nie trudź się, nie trwóż się próżnemi strachami, któremi cię napoili łacińscy kapłani. Sama widzisz jak słabszemi są od naszych bogów. Wyznaj to raz własnemi ustami i sercem."

Oda milczała, niewiedziała co odpowiedzieć. Guślarz potokiem słów zalał jéj duszę; jeżeli nie opanował całego sumienia, to przynajmniéj silne rozzarzył iskry dawnych pogańskich wierzeń nie całkiem zduszone, zatrząsł wiarę nową nie dobrze jeszcze zakorzenioną w roli serca ruchomego, przyjmującego łatwo wszelkie wrażenia mocne.

Milczenie Ody było już dobrym znakiem dla guślarza. Postrzegł z tego, że zwyciężył w połowie, dobył więc ostatnich sił, rzucił się na kolana przed Odę i zawołał rzewném błaganiem: „Nie wahaj się dłużéj, prześliczna Odo. Twoje serce przyświadcza moim słowom. Idź za niém. Patrzaj co stracisz? Wiarę obcą niepojętą, surową, ponurą, nieprzyjaciółkę uciech ziemskich, a zyskasz wiarę jasną, pogodną, otwiérającą tobie tutaj, na ziemi, wszystkie roskosze tego raju, któremi cię łacinnicy po śmierci wabią. Wybór prosty. Niemogę wypowiedzieć szczęścia jakiém nagrodzą bogowie twój do nich powrót. Alboż to cały swiat w tych górach? pod władzą Gromowida? Alboż to wszelkie szczęście w jego tylko objęciu? Jestem potężniejszy, niż ci się zdaje. Znajdziesz zemną szczęście, o jakiem nie wiesz dotąd, bo dotąd nikt cię tak nie kochał, jak ja kocham. Odo, zaklinam cię na moję miłość, na twoje własne szczęście, na bogi spólne nam kiedyś, odważ się na to dzisiaj, co musisz zrobić jutro, po jutrze, kiedykolwiek: bo serce twoje jest już w mocy ojczystych bogów. Odrzuć cokolwiek przywięzuje cię jeszcze do twojéj wiary, do twojego męża. Powiedz, że przyjmujesz moję miłość. Wahasz się? A więc ci powiém ostatnie słowa. Kiedym po raz ostatni radził się bogów, usłyszałem to z ich ust własnych, że Gromowid już nie żyje, i że mnie przeznaczono zdjąć z twojéj głowy ten wianek. I zdejmę go, zdejmę przez bogi moje."

Oda półstruchlała zerwała się z siedzenia, guślarz groźniejszy jak kiedykolwiek sięgał już ręką po wieniec, w tém z gęstwy rozległo się ogromnym głosem:"

„Kłamiesz pogański duchu!" świstnęła strzała prosto w piersi guślarza, a tuż za nią wypadł skokiem rysia spadającego na zdobycz uzbrojony rycerz i schwycił guślarza za gardło.

Oda rzuciła okiem na rycerza, wrzasnęła przeraźliwie i w mgnieniu oka znikła z przed pieczary.

Pod ten czas rozpoczęła się uparta walka między przybyłym rycerzem, a guślarzem. Ten jakkolwiek bezbronny i raniony, dobył ostatnich sił i pokazał, że miał ich niemało. Po kilkakroć, nagą tylko pięścią

potrącił rycerza tak silnie, że aż nim zachwiał za każdém potrąceniem, ale wkrótce sam się zwalił przebity mieczem.

„Pokonałeś mię przeklęty!“ zawołał chrypiącym głosem konającego. „Biada moim bogom. Słabi są, ale umiéram wierny im. Przebacz żonie. Ja tylko występny. Oda słaba, ale niewinna. Przysięgam na bogi.“

Słowa te złagodziły wściekłość Gromowida. Odstąpił od guślarza, a myśl o żonie zajęła go jedynie. Obejrzał się dokoła i nieznalazł jéj; ale w zaślepieniu walki niezważał gdzie się udała. Niepokój groźny schwycił go za serce, obłąkał oczy, odbił się w całéj postawie.

Pół-martwy guślarz odgadł ten niepokój: niemógł już przemówić, ale wskazał ruchem ręki na łachman białéj sukni, wiszący u bliskiéj gałęzi, jako ślad jéj ucieczki w stanie bezprzytomnym zapewne.

Gromowid po tym jedynym znaku puścił się za zbiegłą w całym pędzie nóg; natrafił jeszcze dwa lub trzy razy na podobne poślaki, ale wkrótce żadnych nie znalazł. Mimo to przez godzin kilka biegał po bliskich górach na oślep, wołał, nikt się nie odzywał. Myślał, że się schroniła do zamku. Wpadł tam jak widziadło, jak obłąkany; nie witał domowników; wołał tylko o żonę; nikt jéj nie widział, nikt nie wiedział gdzie się podziała. Rozegnał wszystką służbę na całą noc, w różne strony, i sam nie został bezczynny. Całą noc migały po przyległych lasach i górach kagańce szukających; całą noc rozlegały się żałobne nawoływania: wszystko naprózno. Aż dopiéro nad ranem, ujrzał Gromowid coś białego w niedostępnéj prawie gęstwinie. Zbliżył się, rozpoznał ludzką postać. Krzyknął z radości, przedarł się do niéj, przypadł na kolana: w rzeczy saméj była to Oda. Leżała oparta o poplątane gałęzie pół-naga, półmartwa, z suknią poszarpaną, z ciałem podrapaném, z ręką na wieńcu spływającym po włosach. Na głos Gromowida zadrzała dreszczem całego ciała, podniosła w pół przygasłe oczy, osłupione trwogą, konwulsyjnym ruchem zerwała wieniec i puściła go przed nogami męża. Lecz kiedy ująwszy ją w silny uścisk chciał podnieść, i słowami wszystko przebaczył i przycisnął z miłością swoje usta do jéj ust, uśmiechnęła się, złagodziła wejrzenie i niewyraźnie wyszeptała:

„Kara Boska.“

Były to ostatnie ruchy życia, ostatnie słowa; po czém zwolna zamknęła oczy i już ich więcéj nie otwarła.

Z tém okiem zgasło całe szczęście, cała ziemska przyszłość Gromowida. Pochował on żonę w tém samém miejscu gdzie ją znalazł, przeklął swój zamek na wieczne pustki, a sam osiadł w kaplicy zbudowanéj na ukochanym grobie i wkrótce tam umarł.

Niebo dla nauki miejscowego ludu uwieczniło cały ten wypadek. Natychmiast po skonaniu Gromowida, kaplica zapadła się w ziemię, a na jéj miejsce wystąpiło jezioro zwane dzisiaj Smerczyn Staw. Ztamtąd w pewnych wieczorach każdego roku wychodzi mgła biała, powiewna, wtacza się na szczyt Smytni, stacza się z niego, błądzi po dolinie i znowu wraca do jeziora. Ma to być duch Ody, niewiadomo czy jeszcze pokutujący czy już Anioł.

Pustki zamku przemienione w opokę zachowały do dziś dnia pozór warownéj budowy. Pieczara guślarza zapadła, a na jéj miejscu siedzi duch jego odziany kształtem wielkiéj kamiennéj sowy; nieruchomy od wieków nad prześliczną doliną, musi patrzeć bezwładnie na miejsce bezbożnych swoich czynów, Bóg wie dopóki.

Nie jeden podróżny widzi to wszystko, a niewie zamkniętéj w tém tajemnicy.

KONIEC.

N O S.

(Dalszy ciąg Osteologii.)

Capricioso.

Środkiem między oknami duszy naprzód podana wystaje jakaś luneta, tuż nad palisadami zębów, od tyłu tylko sklepiona, przodem pustkami sterczy, niby namiot rozbity. To pustki po nosie, co jak Górecki powiada, potężnie zasiadł i panował twarzy. Jeżeli wydatności wszelkie, owo wystawanie naprzód z po za koła równości, owa jakaś powaga, prezentująca na czele ma być arystokracyą, nosowi przed innemi członkami głowy, należy się ten patent, nawet z wysoką dygnitarską godnością, gdy nos będzie po temu. Ta jego arystokracya którą snać naród dobrze pojmował, nawet u nas w język weszła, bo gdzie się tylko ruszymy, do czego się tylko posiągniemy, zawsze się o nos zawadzić trzeba. Bo mówimy do**nosić**, za**nosić**, przy**nosić**, od**nosić**, pod**nosić**, prze**nosić**, ob**nosić**; zgoła wszystko idzie do nosa, od nosa, u nosa, pod nos, przez nos, za nos i t. p. prawdziwe daniny, zaciągi i pańszczyzny, dla wielowładnego nosa. Tylko owe demokratyczne, wszystko równające koło, nie chce się wiązać z nosem, nie wiadomo, czy dla tego, że nos ma antipatyą do koła, czy koło do nosa, czy oboje do siebie; bo kołonosić żadną miarą w połączeniu powiedzieć się nie da. Niedawno temu, czy

podobno nawet wczora dopiero, chciano jednak koło połączyć z nosem, a raczéj nos wciągnąć do koła, a to pewnym sztucznym sposobem, przygrywając w takt tak spiesznie i skocznie, aby w tém kołującém się kole nosów rozeznać nie było. Powiadają dla człowieka nie ma nic trudnego. Miéj wiarę, a ta góra przeniesie się z miejsca na miejsce, czemużby się tym talizmanem góra nosowa przenieść nie miała. Czyliby zaś przez kołujące się koło nastąpiło to zespolenie, tego niewiem, bo o tém Osteologia nic nie pisze.

Jakiś tam tylko Francuz nie osteolog ale chemista powiedział: *au lieu d'une fusion, vous aurez de la confusion.* I podobno prawdę powiedział, bo gdzie nie ma wzajemnego ciał pociągu do siebie, nie ma zespolenia. Tego patryotycznego więc pociągu potrzeba, a da go wiara w przyszłość i miłość ojczyzny, te silne węzły narodowego życia. Lecz wróćmy do nosa arystokraty. Za takiego uważał go lud nasz wszystek, bo gniewał się i słusznie, gdy kto gębę wyżéj nosa nosił, albo dmuchał sobie poważnie, zadarł nosa w górę i już Bohomolec w komedyi dawał zdrową radę: Pamiętaj na twój stan, a wyżéj niż ci przystoi nosa nie zadzieraj. Rozpatrując się daléj w języku naszym, widać tę walkę wydatnych nosów z resztą pośladu twarzy. Tamte zawsze oględne na swoje stanowisko, zawsze mające się na baczeniu, jak gdyby wśród wojny wydały prawa surowe: aby każdy pilnował swego nosa, aby każdy się wprzody za swój nos pociągnął, a pamiętne o sobie napominają, spieszcie się aby wam kto z przed nosa nie capnął (Teatr 22. b. 98.) bo jakoś tam mruczą brać komu z przed nosa. Z innéj strony znów głos się odzywa jak u Potockiego Wacława w Argeneidzie „daléj od nosa nie patrzy" i mądrą daje nosom przestrogę. Zapalczywsi zaś wywołują: Na bok z nosem! Héj dać mu po nosie, Utrzyć mu nosa! Uszczypliwsi nakoniec, wolą za nos kogo wodzić, grać komu po nosie, puszczać przez nos chrabąszcza.

Tak się wszędzie i zawsze u nas człowiek ścierał z nosem, a nos z człowiekiem, a w kolei ciągłych utarczek wymiarkowano słabości i przywary nosa. Nos to zawsze się wścibia, gdzie nie trzeba; tam nos swój nie jeden wtyka, gdzie nie należy, a chceli szeląg dać, to się ciągnie po nosie. Lada co zaraz mu w nos wnijdzie, i muchy namolne zawsze tylko są w nosie. Jeszcze póki co pachnie, jak wody kolońskie, pomady i perfumy z Francyi, toć roskosz dla nosa, ale niechno, coś od mierzwy zaleci, którą się rola ojczysta uprawia, arystokracko jakoś nos się zakręci i skrzywi, w zmarszczki cierpkie powlecze. Najgorsza tęgość każda spiritualna, bo zaraz w nos bije; tej się téż najwięcéj obawiają, aby im w nos nie poszła. Ilekroć się zaś coś takiego zdarzy, widać zaraz nosy spuszczone na kwintę.

Nie można się tu dosyć trafności wyrażeń naszego języka wydziwić. Jak to np. i to wyborne mruczeć pod nosem. Dość sobie wystawić stan jeden wyłączny, co jak nos potężny rozsiadł się na obliczu ojczyzny, aby zrozumieć to mruczenie uciśnionego ludu pod nosem, nieśmiałe, niezrozumiałe, ani zrozumiane kiedykolwiek. Bodajby pamiętano o tém, co się tu owdzie już iściło, że gdy człowiek płacze, często nos wyciera. Gadanie przez nos, czemuż tak odrębne, niemiłe, naznaczone jakiemś przykrém dla ucha gęgoceniem. Odpowiedzieć trzeba, bo nie narodowe, bo nie idzie z pełni serca, i obszernym ust otworem nie występuje na jaw, jasno, głośno, dobitnie. Czytam w Pamiętniku polityczno-historycznym z roku 1782. że duchowni w Rosyi pewnym tonem przez nos śpiewają; i znów Mićkiewicz Adam w prelekcyach swoich namienia o głosie chrapliwym i przez nos wydawanym, pewnéj familii panującéj, w którym uważa jakby głos grzechotnika. Widać więc, że tą drogą przez nosy, głos żaden przechodzić nie powinien, jeżeli nie ma zmienić się w czystości, jędrności i pełności swojéj. I biada narodowi gdzie głos miłości Boga przez nas do ludu gęgoce, albo głos miłości ojczyzny, nosowym kanałem przechodzi.

Czemu to natura tak urządziła, że krew z nosa płynie, gdy krwi zburzenie powstaje? niebezpieczny to symbol i rewolucyjny, o który trudno naturze zrobić process za felonią i za obrażenie wysokiego majestatu nosa. Ale gdyby to dawniéj z osteologii wiedziano, że nosy są arystokracyą, dawnoby lekarzy okrzyczano za Robespierów, którzy śmieli tak buntownicze między ludem rozszerzać mniemanie, jakoby płynienie krwi z nosa znamieniem być miało i dobrą wróżbą zdrowia. — Być to może, boć natura tu sama sobie nieraz pomaga, i w takim razie do zdrowia pewnie prowadzi. Ale zapominać nie należy, że i to krew żywota naszego, i że ją kosztem całego ciała wytaczamy. — Wolałbym tu raczéj inną symboliczność upatrywać. W gwałtownych wstrząśnieniach systemu krwiowego, krew wzburzona albo się gardłem wali, albo się nosem leje, a najczęściéj obojgiem razem, a życie z upływem krwi słabnie i ubiega. Były czasy, że gdy się krew ludu gardłem na polach bitwy lała, i nosy oraz stały się kanałem, kędy wyciekało życie.

Do téj sterczącéj kończastości ogurko- albo garbonoséj, która się dopiero w dalszym wieku człowieka

na rozmaite kształty, wgięcia i wypukłości wyrabia, staczają się wszelakie zepsute soki ciała. W nosie uprzykrzony katar ma swoje siedlisko, na który niejeden człowiek całe życie choruje, i nigdy się go pozbyć nie może; tam naprzód trąd osiada, zanim się po reszcie twarzy rozejdzie; tam polip wielokonary najulubieńsze obiera siedlisko; tam wreszcie miedziany sobie stawia pomnik, żywot na opilstwie spędzony, i obnosi go światu na pokazanie. — Byli tacy, co naród uważali jako jednego człowieka; nie postrzegli się podobno, albo nie wiedzieli, coby w organizacyi narodu było narzędziem powonienia.

Zmysł powonienia, którego siedliskiem jest nos, ma te same co on przymioty. Na widok nędzy oko łzą litości zajdzie, na głos nieszczęśliwego, słuch duszę czułością nastroi, ale nos tylko się zakręci i skrzywi. Zmysł ten ma z dyplomacyą wielkie podobieństwo, bo téż to zawód świetny, jedynie arystokratyczny. Precz tam z litością, uczuciem, i inną powszednich cnót zgrają! Tu wyższe widoki, dworskie, salonowe życie. W polityczném życiu niezbędną stała się dyplomacya; u człowieka powonienie jest zmysłem saméj przyjemności, którego strata, gdy albo nerwy się stępią, albo paraliż je ruszy, niekoniecznie go robi nieszczęśliwym. U zwierząt inaczéj. Tam życie na powonieniu zawisło, bez niego obejśćby się nie mogło. Gdzie w ludzie życie jest zwierzęce, do ludzkości nie wyrobione pojęciem godności człowieka, tam lud potrzebuje takiego narzędzia powonienia, którémby szukał pokarmu dla siebie, i byt swój utrzymywał. W wywalczeniu się ludu do swobód politycznych, arystokracya, reprezentująca powonienie, wchodzi w podrzędne znaczenie tego zmysłu u człowieka.

Gdzie usta zamknięte, tam człowiek przez nos oddychać jeszcze może. Przezorna natura, na przewidziany taki stan społeczeństwa, gdzie usta albo się otworzyć nie umieją, albo nie mogą, dała komunikacyą nosowi przez podniebienie, aby proces oddychania mógł się, acz ciężko, odbywać. U nas podobno aż do ostatnich czasów naród wciągał w siebie i oddychał powietrze. Było dobrze, przynajmniéj jako tako, póki nos był zdrowy, lecz gdy się zakatarzył, śmierć polityczna nastąpić musiała.

Mówiąc tu o nosie oblicza narodowego, nie mam na myśli owych drobnych, maluczkich nosów, co ich na twarzy ani nie znać, ale o tych, o jakich powiada Haura w skarbcu ekonomii „o nos ci to, nos, mógłby go na kompas do zegaru użyć“, o owych zasapanych, zakatarzonych nosach. Zresztą, nietylko w samém ciele narodowém są nosy, są i w światłości jego. I język nasz dobrze to pojął, gdy mówi, że i świeca ma nos, czarny, murzący, brzydki. W tych to nosach, gdy się rozpostrze choroba, staje się prawdziwą nosacizną narodu. — Uczmy się osteologii i pojrzyjmy na głowę szkielecą, co tam pozostało z nosa? Oto ta warownia silna, koścista, co z kości czaszkowéj, niby z rdzenia narodowego wyrosła; a ta reszta giętka, chrząstkowata, co się w rozmaite, nadobne kształty, ku ozdobie twarzy wyginała, sterczy próżnią i jamą otwartą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Tego roku mieliśmy karnawał bardzo huczny. Ludzie nawet średniego wieku nie pamiętają nigdy podobnego; białą siwizną pokryci przypominają, że coś takiego istniało za czasów południowo-pruskich, kiedy jeszcze lepiéj umiano żyć w Poznaniu, niż podczas błogiego panowania królów saskich. Była wtedy droga pszenica a duch narodowy spał, że aż chrapał, ale teraźniejszéj wesołości wcale sobie wytłumaczyć niepodobna. Należy do zjawień równie obrachowaniu nie podpadających, jak trzęsienie ziemi. Chyba to wpływało dobroczynnie, że Towarzystwo kredytowe wydaje nowe pożyczki.

Już to nietylko obywatele wiejscy, wyprawiali sobie świetne wieczory i bale, ale także obywatele miasta na polskiém kassynie zebrali się dwa razy w liczbie około 500 osób. Był obiad dawnych wojskowych, był późniéj bal kawalerski i choć o 12téj godzinie w ostatni wtorek dzwony niektórych kościołów ogłosiły post wielki, bodaj jednak tańce ustaną. Uprzyjemnił téż kilka wieczorów sławny wirtuoz Liszt. Większość przyznaje mu, że niejest mechanistą, ale zupełnym panem harmonii. Dokazuje wszystkiego, do czego fortepian jest zdolny. Nie wzbudził atoli tyle zapału, a zwłaszcza tak szalonego, jak w Berlinie. Nie pochodzi to ztąd, aby u nas nie było znawców muzyki, lecz jedynie ztąd, że Polacy i Polki ważniejsze rzeczy i wyższe zalety, jak fortepian i wirtualność na fortepianie z uczuciem zachwycać i przedmiotem ubóstwiania robić przywykli.

Dawano także wielkie oratorium *Stabat Mater dolorosa.* Urządzał je pan Teodor Sczaniecki na korzyść Towarzystwa naukowéj pomocy i na inne cele dobroczynne. Pan Sczaniecki corocznie w podobny sposób niesie wsparcie potrzebującéj ludzkości, jakkolwiek kosztuje go to wiele zachodu i nie doznaje tyle pomocy od innych amatorów muzyki, a zwłaszcza

dam, ile jéj ma prawa wymagać, przez wzgląd na piękność celu. Były jeszcze i inne koncerta.

Teatr polski został także na dobre otworzony; widzieliśmy w jednéj sztuce już 14 osób grających. Nie pokazuje on w sobie nic zadziwiającego, ale odpowiada swoim stopniem stanowisku i wielkości miasta. Jednę atoli mamy obawę, to jest, o repertorium. Sztuki dramatyczne polskie pisane były pod wpływem obcych literatur, a dozorem zbyt surowych cenzur. Życie zaś polskie, zaczęło się w literaturze należycie dopiero od kilku lat przebijać. To co wyjątkowo zrobił Fredro dla teatru, już nazbyt znajome i z powszechniałe. Prace Dmuszewskiego udają tylko narodowość i dziś bawić nie mogą, ledwie pozostaną rzeczy Skarbka i innych kilku mniej znanych pisarzy. Ale i te nieosobliwe. W ogóle nasi artyści niepotrafią odpowiedzieć duchowi czasu, bo autorowie zależeli pole. Powinniby się u nas ocknąć pisarze dramatyczni. To jest pewna, że lepszy obiad z Magdusią, niż Skąpiec Moliera, dzieło spółczesne Ludwika XIV. Tak zwana komedya charakterystyczna już teraz wypłowiała całkiém. Mogła ona coś znaczyć, nim znano Walter Scotta i tylu wybornych pisarzy powieściowych, którzy charaktery w całości wyczerpują. Trzy godziny w teatrze zupełnie są niedostateczne do odsłonienia jakiegokolwiek charakteru. Prócz tego jeden charakter niezajmie; trzeba ich kilka w grę wprowadzać, żeby się krzyżowały, a to w krótkości jeszcze trudniéj wykonać.

Królewska biblioteka w Paryżu posiada wielki skarb rycin i tak Rembrandta obrazów w miedziorytach 1895. Callota 2498. Liczba portretów od najdawniejszych czasów, aż do najnowszych, wynosi 90,565; Henryka IV. portretów 300, Napoleona 433, Ludwika 14,513. portretów. Osobny oddział poświęcony jest ubiorom wszystkich narodów, wynosi 36,973. płyt miedzianych, z ktorych 11,991. przedstawia wyłącznie ubiory francuzkie w różnych czasach. Zbiór ten wiele obudza ciekawości dla swéj rozmaitości i osobliwości w kształtach ubiorów. Historycznych miedziorytów znajduje się 24,118, z których 14,387. odnosi się do historyi Francyi. Do tych zbiorów dodać należy jeszcze 7,831. karykatur, 36,859. obrazów architektonicznych, 39,901. z historyi naturalnéj, a 41,840. wystawia przedmioty z biblii.

Przebrani korsarze. Podczas wojny morskiéj między Francyą a Anglią, dawali korsarze obudwu narodów dowody wielkiéj odwagi. Do najśmielszych korsarzy możem policzyć kapitana Moëde, który nieustannie ścigał angielskie okręty. W Indyach zach. zabrał bogaty statek angielski, na którym znajdowało się wiele kobiet podróżujących. Na drugi dzień ujrzał on bryg angielski wprost na niego płynący. Natychmiast rozkazał swym podwładnym powyjmować z kufrów suknie kobiece i przywdziać na siebie. Wszyscy wykonali rozkaz i ujrzano wkrótce pięćdziesiąt pięknych z parasolikami w ręku. Kapitan zamierzał tém podejściem przekonać dowódzcę brygu, że ma przed sobą tylko nadbrzeżnego żeglarza, który dla spaceru puścił się na morze, i tym sposobem chciał ujść utarczki. Ale omylił się; angielski okręt nie zważał na piękności z parasolikami, powitał owszem je strzałami z całego boku. Kapitan Moëde rozkazał przeto przebranym majtkom okręt nieprzyjacielski zachaczyć. Zrzucili w okamgnieniu swe słomiane kapelusze i parasoliki pochwycili za pałasze i pistolety i poskoczyli na pokład nieprzyjacielski. Po półgodzinnéj walce cały pokład zbroczony został krwią i zakryty trupami poległych, a bryg zdobyty. Kapitan udał się do Guadeloupy, przybył tam z osadą, która jeszcze po kobiecemu była przebrana. — Przy innéj sposobności powystrzelał on cały zapas kul. Już wystrzelano na nieprzyjaciela wszystkie gwoździe i kamienie z balastu, armat nie było czém nabić. Nakoniec zawołał Moëde: „w mojéj kajucie znajdują się dwie beczułki pieniędzy, rozbijcie je i nabijcie niemi armaty.“ — „To są twoje piastry!“ rzekli majtkowie. — „Nie można ich lepiéj zabezpieczyć,“ była odpowiedź kapitana. Nabito pieniądze w armaty, a po ćwierć godziny zabrano okręt nieprzyjacielski.

Angielskie dzienniki są dosyć złośliwe stworzenia! Morning Chronicle ośmiela się utrzymywać, iż zamierzony zakaz fabrykacyi cukru z buraków we Francyi polega na planie Ludwika Filipa, aby ożenić syna swego. Wiadomo, iż Brazylia ma zbyteczną księżniczkę (Januarią), którą chce wydać za mąż i zbyteczny cukier. Kto cukier kupi, otrzyma darmo księżniczkę. Teraz Filip rzucił łaskawém okiem na księżniczkę, na którą może kiedyś przejść spadkiem Brazylia, i przeznacza jéj syna swego Joinvilla; cukier trzeba przytém nabyć, a więc — aby nie utonąć w samych słodyczach — zakazać należy wyrabiania go we Francyi z buraków. — Oto loika polityczna!

Przemysłowość odkryła nowy wynalazek, któremu się wszyscy winiarze cieszyć będą; odkryto bowiem, iż sok winny nietylko iluminuje głowy, ale nawet światło daje, jaśniejsze od gazu. Znów widoki na zbytki. Ludzie nie będą już pili Naumburgera, Tokaja lub Grünebergera, ale wypalać je będą w latarniach ulicznych, a bogaci oświecać swe kagańce szampanem.

Dusze kramarskie ważą nawet zasady podług bitych talarów. Zaledwie Lamartine odpadł od rządu dla tego, iż widzi, że rząd ten zamierza obalić na manowcach konstytucyą francuzką, a zaraz podsuwają mu powody samolubne, jakoby tego lub owego od rządu nie uzyskał i t. d. Dusze te kramarskie nie mogą pojąć, że nikczemność może powołać ludzi poczciwych do broni jedynie z czystéj téj zasady, iż patrzeć nie mogą na podłość i wiarołomstwo.

Mało komu zapewne wiadomo, iż Chińczykowie nie mają żadnego dnia przeznaczonego na niedzielę i że chrześcijańskiego znają Zbawiciela, zowiąc go Yasoo (Jezus) i liczą do Bogów swych, gdy tymczasem uczeni chińscy szanują go jako sprawiedliwego i wybornego człowieka. Wiedzą także i o Matce Boskiéj (Ma-le-ya czyli Marya), zowiąc ją czcigodną osobą.

Jakiś pan Glasbrenner sądził dotąd, że tylko niemieckie raki, to jest stworzenia lubiące wstecz się cofać, są głupie, teraz przekonał się, że i zagranicą podobne stworzenia są głupie. Posłuchajmy co mówi o morskich rakach nad brzegami Szkockiemi: „Stanęliśmy spokojnie w czołnie na wypogodzoném zwierciedle morza, które w owém miejscu dziesięć stóp było głębokie. Rybacy patrzeli z uwagą w głąb morza i po chwili wydobywali długie swe drążki, u których coś było uczepionego. Tak łapią raki. Widząc bowiem czołgające się raki, po dnie morskiém, niepokoją je z tyłu drążkami, rak uderzony obraca się i z zemsty chwyta za drążek. Rybacy trząsają drążkiem, udając przestrach pochwyconego przedmiotu, raki rozumiejąc, że przeciwnik ich obawia się i chce uciekać, silniéj uczepiają się drążka, który je wynosi na czołna.

MODY.

Paryż, dnia 20. Lutego 1843.

Mody są poezyą kobiet i szczególniéj młode je wynajdują, u których świeża bywa jeszcze fantazya. Jako malarz jest poetą, tak dama stwarza mody w swym budoarze. Przypatrzmy się tylko, kiedy się ona stroi na bal, otoczona piórami, wstążkami, kwiatami i klejnotami. Jest to chwila pomysłów artystowskich. Jedno i drugie przymierza, stósuje i patrzy, jakie czyni wrażenie. Jeżeli przystała na co, już idzie na bal, na koncert i t. d. — Strój jéj podoba się drugim, zaraz go przy pierwszéj naśladują sposobności i tak się rodzą mody, przepisać je trudno. I dla tego opowiadać tylko będziemy, cośmy widzieli, zostawiając wybór pięknym czytelniczkom.

W ogólności wiele teraz noszą sukien aksamitnych.

Wykrój sukien z przodu daléj nie postąpił i trudno też daléj postąpić; ramiona noszą więcéj odkryte aniżeli dawniéj, ale i tu ostatniéj dotknięto granicy.

Białe, różowe i niebieskie krepy, haftowane i w maleńkie bukiety posiane organtyny, są najwięcéj używanemi tkaninami, przez tańcujące damy. Suknie składają się z dwóch lub trzech powłok obrzeżonych wstążką i oznaczonych bukietami. Staniki są z przodu, a czasem i z tyłu sztywne. Powłoki coraz więcéj bywają obszerne. Jak daleko odstąpiliśmy od powłok z czasów cesarskich, a zbliżyliśmy się do rogóżek Ludwika XV.!

Powiadają: literatura jest wyrazem społeczności; nie możnaż tego zastósować do mody? Mody zdradzają obyczaje. Pierwsze modniarki nadały stanikom, rękawom, powłokom nazwiska Dubarry i Pompadour. Nie jestże to wymowne? Nie chcemy tu przecie filozofować, ale wrócimy się do opisu ubiorów.

Suknie mają prawie wszystkie klapy na piersiach i są otwarte z przodu, z powłoką podobnéj tkaniny. Klapy orzucają koronką, u góry bardzo szeroką, ku przepasce coraz węższą. Jeżeli suknia jest z przodu otwarta, natenczas garnitur jest w kształt fartuszka; jeżeli z boku przecięta, brzegi wtenczas są wiązane wstążkami lub koronkami. Na sukniach lekkich zastępują bukiety kwiatów miejsce wstążek.

Wiele téż sukni bywa o dwóch powłokach, jednego koloru, a z różnych tkanin, np. różowy poux de soie i mora, — niebieski aksamit i atłas i t. d.

Stroje głowy są pojedyńcze. Kwiaty i plecionki stanowią cały ustrój. Prześlicznie wygląda półwianek, zachodzący głęboko na czoło.

Objaśnienie ryciny.

1. Strój głowy z koronek, ozdobiony kwieciem i marabutem. Suknia z rożowego atłasu, z obszerną powłoką, gładkim stanikiem i otwartemi rękawami.
2. Turban z białego jedwabiu, zdobny kwiatami i złotemi frężlami. Suknia blado-niebieska z gładkim stanikiem, obszernemi rękawami. Stanik i powłokę zdobi tkanka sznelowa i kutasy perłowe.
3. Paletot z szerokiemi wyłogami i obszernemi rękawami. Czarne pantalony. Krawat biały.
4. Frak z ciemno-zielonego sukna, z połami podobnemi do surdutowych. Guziki świecące. Jasne w kratkę pantalony. Krawat czarny.
5. Krótki surdut z kołnierzem szerokim, obcisłemi rękawami. Jasne, we wzory pantalony. Kamizelka z kołnierzem szalikowym, na dwa rzędy guziki. Krawat kolorowy.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*